

PROLOG

Nawałnica zelektryzowała powietrze, przy okazji sprawdzając wytrzymałość okien. Od grzmotów szybciej były serca poznaniaków i chociaż adrenalina krążyła im w żyłach, awarie w dostawie prądu zmusiły mieszkańców do szybszego wyładowania w łózkach. O dziwo zasypiało się łatwo, a sny przybywały gdzieś zza najgęstszych mgieł, wyjątkowo lepkie i głębokie niczym dźwięk dzwonu.

A zaledwie rzut kamieniem na północ od granicy miasta nie spadła nawet kropla deszczu, jakby ktoś okrył niewielki wycinek dąbrowy magicznym kloszem. Jedyne wiatr miał wstęp, chociaż w gęstwinie zwalniał, by powrócić do galopu tuż za zasłoną.

W dodatku pośrodku osłoniętego terenu kręcił się druid, jakby wyjęty z francuskich komiksów. Na szyi ciążyła mu niedomknięta metalowa obręcz, sierp zaś dyndał przy sznurowanym pasie. Długa szata, niegdyś z pewnością biała, dziś skłaniała się ku szarościom. Dla dopełnienia bajkowego obrazu brakowało kotła z wywarem.

Staruszek zachowywał poważną minę. Wokół siebie rozpalil tuzin pochodni, z pozbieranych kamieni zaś zmontował ołtarzyk, do którego przysunął wiklinowy kosz z drzemiącymi w środku dwuletnimi bliźniętami. Ich rodzice klęczeli kilka metrów dalej.

– Co my tu robimy? – matka zagadywała męża, ten jednak zatonął w modlitwach, zatem wsparła słowa szturchnięciem. – Odbiło ci całym, żeby nas w taką pogodę po lesie...

– Zamilcz – przerwał jej mężczyzna wyjątkowo w nieswoim stylu, sprawiając w ten sposób, że faktycznie ucichła. – Nie widzisz, co się dzieje? – Wskazał na zapracowanego druida, jakby to mogło posłużyć za odpowiedź. – Myślisz, że my tak dla żartów? Że ta burza spadła na miasto przypadkiem?

– Nie podoba mi się to...

– I słusznie. Też wolalbyś spieprzyć jak najdalej stąd. Ktoś jednak musi staremu pomóc. Sam nie wygra wojny ze złem.

– Akceptowałam te chore wymysły – syknęła szeptem – ale to trochę za wiele. Nic nie mówiłam, kiedy po nocach obgadywaliście te swoje WAŻNE sprawy! Dzieciaki przemoczone, a jakieś cholerne pochodnie dymią im nad główkami. Kawalek lasu bez deszczu też mnie nie uspokaja! – Najwidoczniej matce puszczały nerwy, bo z każdym słowem coraz bardziej podnosiła głos. – Jakie zło?! – nie wytrzymała. – Z końcem dwudziestego wieku?!

– Zamilcz, kochanie – poprosił, tym razem łagodniej. – I obserwuj, bo ujrzysz cuda. A o dzieci się nie martw. Druid podsuszył kosz.

– Że co...? – W myślach ujrzała staruszka z suszarką i ta wizja spowodowała, że nie dała rady kontynuować klótni.

Nie było zresztą na to czasu. Druid wezwał rodziców do siebie i nawet słowem nie skomentował podsłuchanej sprzeczki. Rzucił jedynie coś o rozpoczęciu ceremonii, przeprosił za zwłokę, po czym formułką w języku irlandzkim powitał duchy przodków. W odpowiedzi zamglone postacie otoczyły ołtarz dziesiątkami kręgów. Kobięcie odechciało się zabierać głos, za to jeszcze mocniej zateśkniała za domem. Mrugnęła, a duchy zniknęły szybciej, niż się pokazały. Na jej mężu najwidoczniej nie zrobiło to wielkiego wrażenia, bo znowu pochylił głowę i zatopił się

w modlitwie. Za to staruszek nie krył zadowolenia. Aż klasnął z radości, ale szybko się opanował, bo nie przywykł chwalić dnia przed zachodem słońca. Bezwzględnie wypowiedział pierwszą z przepowiedni, wyjątkowo kiepską i pompatyczną rymowaną, którą układał od tygodni:

*– Czystością i bielą arktycznego śniegu –
uczciwość i honor – darem są okręgów.
Prawością żołnierza, wytrwałością w biegu.
Kamienną stałością czterech elementów.*

Kobieta nie skomentowała tych wersów, zbyt pochłonięta sensem pozlepianych słów, który jakoś jej umykał, chociaż lubiła poezję. Wtedy odrealnienie zaatakowało ze zdwojoną siłą. Poczula się niczym widz w kinie, chociaż wciąż jeszcze dygotała na wspomnienie otaczających ją duchów, lecz i to zeszło na dalszy plan. Zobojętniała.

W tym czasie staruszek wyciągnął z rękawa kawałek skały i przyłożył go do czółek bliźniąt.

– Niech ten stop żelaza i niklu – przemówił pompatycznie – otworzy wasze umysły na sprawy, które dla pozostałych śmiertelników pozostają zagadką. Niech sprowadzi przychylność północy.

Przepisowo kolejna z przepowiedni powinna paść dopiero po kwadransie odprawiania modłów. Nie wtedy jednak, kiedy każda sekunda przybliży wrogów do sukcesu. Druid ponownie zarymował:

*– Wiatr wieje od wschodu, wiosennie rozgrzewa,
Ślady żębów czasu swym oddechem zetrze.
Wy długowiecznością zawnstydżicie drzewa,
Prawdę zaś od kłamstwa oddzieli powietrze.*

Po chwili położył z prawej strony płyty ołtarza czerwoną różę.

– Prosimy wschód, czyli wiosnę, o wsparcie.

Sierpem odciął dzieciom po kosmyku włosów, po czym nakarmił nimi sakralny płomień w postaci znicza umieszczonego na spodzie ołtarza:

– *Nos odwagę w sercu, siłę ognia w mięśniach!*

W tych bliźniaczych dłoniach vitalność ukryta.

Wychwalajmy lato modlitwą, co w pieśniach

z południowych kultur twórczością rozkwita.

Dla pewności postawił jeszcze na kamieniach miskę z wodą. Zaczepnął ją wcześniej z jednego z meteorytowych kraterów, których w okolicy nie brakowało.

Skierował do rodziców słowa ostatniej z przepowiedni:

– *Jesień splecze deszczem fałszywe miłości.*

Łososie mądrości zachwycicie wiedzą.

W piątym elemencie nie znajdą litości

najgorliwsi z wrogów, co w kręgi nie wierzą.

Na koniec pokropił dziecięce grzywki wodą. Wreszcie przeszedł do nadawania imion:

– Shanahanie Mac Dara, staniesz się mocniejszym od dębów. – Pokłonił się przed koszem. – Ernine, czerp siły z żelaza.

– Co za bzdury. – Matka wróciła do rzeczywistości. Postanowiła ponarzekać, skoro szopka dobiegła końca, a wizerunek duchów udało jej się wcisnąć w wywołane zmęczeniem urojenia. – Nie wiem, jak żeście zrobili z tymi kręgami i guzik mnie to! Pewnie mi coś dodaliście do obiadu. Nad tym debatowaliście po nocach! Odwieźcie nas jak najszybciej do...

Nie dokończyła. Kobięcy wrzask zdarł chroniącą ich kopulę, jakby była mydlaną bańką:

– Pogalopowałeś z imprezką, starcze!

– Sheen... – jęknął druid, a ojciec przyjął bojową postawę. Jego żona zbaraniała po raz kolejny.

Ciemność wpłynęła między pochodnie wraz z wilgocią i chłodem burzy. Płomienie przygasły, zaczęły się ledwie tlić, by w końcu zostawić po sobie tylko dym. Nie tak odległy Poznań podzielił się światłem swojej luny, przynajmniej z osiedli, gdzie wciąż dostarczano prąd. Burza strzelała flesztami błyskawic.

Rodzice spojrzeli na siebie, po czym zapomnieli o scysjach. Osłonili pociechy płaszczami, a po chwili i sobą.

– Bliźniaki umrą! – Idealnie kobiece kształty zarysowały się na najbliższym wzniesieniu. – Nie powinienesz mieszać dzieci w nasze rozgrywki!

Druid nie miał czasu na wymianę nieuprzejmości. Niby zrobił swoje, ale najzwyczajniej zgłupiał w obliczu coraz bardziej realnego zagrożenia. Przekazał bliźniętom dary, lecz jaki mogły mieć z nich pożytek, skoro nie zdążą dorosnąć?

– Zrób coś! – krzyknęła do niego matka, czym sprowadziła go na ziemię. – Przepraszam! – dorzuciła. – Wierzę w ciebie!

– Stańcie za mną! – Staruszek nabrał pewności siebie. – Za chwilę zaczniesz się przedstawienie!

Słowa nie zdążyły wybrzmieć, a zmaterializowały się trzy armie, które zaczęły okrążać miejsce ceremonii. Od południa przygalopowali jeźdźcy o kozich twarzach i błyszczących racicach. Niedługo po nich od północy nadbiegli żołnierze o sonej skórze, z szarymi mieczami w dłoniach. Na flankach niemal od razu zadudniły ostatnie z pułków – bezgłowi wojownicy, którzy uderzali toporami o tarcze z litego drewna. Jechali na koniach, noszących siodła z żelaza, przy czym ich grzywy oraz ogony pokrywał lód. Wreszcie wspomniana Sheen podjechała na tyle blisko, by można się było jej przyjrzeć.

Prezentowała się niesamowicie, w zielonych spodniach i szkarłatnej pelerynie z inkrustowanym srebrnymi nićmi kapturem, spod którego co rusz wysuwały się niesforne, ogniste loki. Jechała na grzbiecie karego rumaka rozmiarów słonia.

– Pouka! – Na widok wierzchowca druidowi puściły nerwy. – Ty sprzedajny goblinie!

W odpowiedzi ogier transmutował w pokraczniejszą postać. Stał u boku więdźmy, o pół kroku za nią, by podkreślić, kto dzisiaj dowodzi.

– Nie maluje się kryjówek na czarno, bo od razu rzucają się w oczy! – zadrwił basowo z kłoszowych zabezpieczeń.

– Ich wojska to halucynacje! – Starzec nachylił się do małżonków. – Pozbawione życia czary, coś najbliższego telewizji, chociaż w trzech wymiarach. Nie zrobią nikomu krzywdy, bo nie są materialni, tyle powiem. Błagam, nie wiercie w to, co widzicie! Nie dajcie się zastraszyć, to nie będą mogli was tknąć! Jesteście niewinni! Nie macie się czego bać!

Niestety, zbyt ostro wyglądały miecze, zbyt głośno głowice toporów uderzały o tarcze, zbyt irytująco rzały konie. Te, na domiar złego, ruszyły cwałem, aż zadrżała dąbrowa, a w powietrzu dało się wyczuć kwaśną woń zwierzęcego potu.

– To fatamorgany! – wrzeszczał druid, ale mimo to rodzice podawali się obrazom.

Staruszek postanowił działać:

– Duchy przodków, pomóżcie! Wiem, że wciąż tu goście! Proszę, zanim odejdziecie, ukażcie prawdziwe oblicze armii wroga!

Trzy kłęgi zamglonych postaci pojawiły się raz jeszcze, po czym trzy fale światła uderzyły w wojowników. Ci rozpadli się na mech, pył oraz grudki ziemi. Dźwięki umilkły, zapachy zwietrzały, strach zelżał.

Sheen bezzwłocznie zaatakowała burzą, od której uwolniła miasto. Łamała gałęzie huraganowym wiatrem, gradem raniła liście, wzniesła pożary błyskawicami.

– *Dosyć!* – Bliźnięta uniosły się ponad koszem, a zszokowani rodzice nie mogli się do nich zbliżyć. Przemawiały unisono, kobiecym głosem, chociaż wciąż tkwiły pogrążone we śnie. – *Dokonano się, Sheen. Odsuń. Nie pozwolę ci tknąć tych ludzi, skoro nie są niczemu winni. I nie dotaniesz ich dzieci! Nie odnajdziesz ich, dopóki nie osiągną pełnoletności, kiedy ujawnią się dary!*

– *Saorbhreachabu, ocal chłopca.* – Ten sam głos zabrzmiał w głowie druida.

Mędrzec bezzwłocznie przemienił się w największego sokoła, jakiego widziała ziemia. Na ten widok matka bliźniąt niemalże straciła przytomność i tylko troska o dzieci nie pozwalała jej do końca omdleć. Uszczypnęła się boleśnie, by wreszcie w pełni zrozumieć, że tu faktycznie toczy się walka ze złem i powinna bezapelacyjnie stanąć po stronie męża.

Ptak, chroniony od zakusów burzy, porwał w szpony wciąż lewitującego chłopca i wzbil się w powietrze. Pozostawił po sobie jedynie metalową obręcz, szaty oraz półksiężyc złota.

– *Zadbajcie o Ernine* – głos wydał polecenie rodzicom. – *Nie martwcie się o synka. Nasz wspólny przyjaciel zapewni mu dobrobyt oraz bezpieczeństwo. Odejdźcie, kochani* – dodała, bo za pocieszenie po takiej stracie mógł zabrać się tylko czas. – *Nie będą was ścigać. Ukryjcie córeczkę w samym sercu Irlandii. Proszę, zabierzcie sierp i opłaćcie podróż.*

Spojrzeli za odlatującym ptakiem, po czym pobiegli wraz z małą w stronę miasta. Ojciec okrył dziewczynkę kocem i przytulił do siebie. Dąbrowa zdawała się ich osłaniać, chociaż tonęła w chaosie wywołanym przez rudowłosą piękność.

– Niech las wypędzi intruzów! – głos rozbrzmiał z każdego liścia.

Kamienie, złamane gałęzie, wiklinowy kosz oraz piach poleciały w stronę Sheen z prędkością drapieżnych zwierząt.

– Jeszcze się policzymy, Arduinno! – zamarudziła agresorka, zmuszona do odwrotu.

Uciekła na poturbowanym rumaku, a nad Poznaniem blask księżyca przebił się przez rzadniejące chmury. Koszmary odpływały za mgłę, uspokajały się oddechy śniących.

Trójka uciekinierów dotarła do domu – rodzice od razu zaczęli pakować się na długą podróż. Matka milczała przez wiele kolejnych tygodni, by wreszcie odpowiedzieć na zapewnienia męża, że też go kocha.

Nie kłamała.



ROZDZIAŁ I

CZELADNIK

*Jakże mnie wygnasz z ziemi ojczystej,
Jeśli jej nie znasz?*
Antoni Słonimski, *Dwie ojczyzny*

Słońce lekko podgrzewało papę, bo tylko na tyle było je stać. Na jednym z dachów młody chłopak przyglądał się swoim dłoniom. Sadza wyglądała mu linie papilarne, podmałowała od spodu paznokcie, dostała się nawet pod rękawy. Stanowiła nieodzowną część tej pracy, niczym u piekarza mąka, a u górnika pył.

Skończyło się ślęczenie w liceum, ale superszybko w jego miejsce wskoczyła dorosłość. Przyjaciele albo wpadli w te same sidła, albo wyjechali. Pozostali jeszcze ci najwytrwalsi, którzy do tej pory nie przestali oblewać matury. Lwia część przedłużała młodość studiami, a na ich Instagramach zaroilo się od zdjęć uczelni z uśmiechniętą młodzieżą na pierwszym planie.

– Jakubie przepalam! – głos dziadka rozbudził walkie-talkie.

Jakub skupił wzrok na kominach z oznaczeniami wyrysowanymi białą kredą. Jeden z nich wypuł strużkę dymu.

– Grupa druga, przewód pierwszy – chłopak zameldował do urzędzenia w na oko podobnym do niego wieku.

– Dzięki.

Z kwadrans mu zjeżdżie na dopicie herbaty i przejście do kolejnego z mieszkań
– pomyślał życzeniowo Kuba.

Sięgnął do kieszeni po książkę, której sadza też nie oszczędziła, bo wślizgnęła się nawet pod okładkę. Jej czerń za każdym razem działała nastolatkowi na nerwy. Kojarzyła mu się banalnie ze złem, ze śmiercią i nic nie mógł na to poradzić. Nie pomagały próby przekonania samego siebie, że takie szufladkowanie kolorów jest głupie. Szczęśliwie zielen ze zdjęć zadziałała kojąco na nerwy.

Przekartkował „Przewodnik turystyczny po Irlandii”, po czym zatrzymał się na dłużej przy zachodnim wybrzeżu wyspy, najmniejszej prowincji Connacht, a dokładnie na szybko rozwijającym się mieście Galway. Najbardziej podobały mu się zdjęcia zatoki oraz witryn pubów. Jedyne dachy budynków nie przypadły mu do gustu, bo, delikatnie mówiąc, należały do tych spadzistych. Nie chciałby tam robić na kominach – doszedł tym samym do wniosku, że wkrótce przyjdzie mu zejść na ziemię.

Zezłościł się na siebie za takie spostrzeżenia. Praca tak szybko przejęła kontrolę nad jego życiem – zarówno w wymiarze czasowym, jak i podprogowo – że zaczął patrzeć na przyszłość przez jej pryzmat. Niby nie powinien narzekać, kominiarstwu daleko było do harówki, za to nadrabiało monotonią. Dziadka nawet rozumiał. Od zawsze lubił prace na wysokości. Wyraźnie odzywał na dachach, ale czemu wciągnął w to jego? Kuba nie miał pojęcia, a powody finansowe, które opiekun przedstawiał za najistotniejsze, jakoś nie pasowały do obrazu całości, wylaniającego się z faktur. Ich dwójka wykarmilaby spokojnie z tuzin wygłodniałych dobermanów, a i tak mieliby co do garnka włożyć. Szczególnie odkąd mistrz kominiarstwa zdobył unijne uprawnienia do inspekcji wentylacji. Kilka minut z aerometrem w którejkolwiek ze szkół potrafiło sfinansować dniówkę i zatrudnienie profesjonalnego pomocnika.

A może chciał spędzać więcej czasu z wnukiem? – przeszło Kubie przez myśl.

– Przepalam w ostatnim piecu. – Najwidoczniej staruszkowi spie-szyło się do domu, bo uwinął się wyjątkowo szybko.

Książka zanurkowała w kieszeni. Nastolatek spojrzal w stronę ceglanych kominów.

– Pal – zgłosił gotowość do działania. – Grupa druga, przewód pierwszy – doniósł na widok dymu z palonych gazet.

– Dzięki. Schodź.

Kuba zrzucił linę na klatkę schodową, zamknął za sobą właz, założył na ręczce klódkę. Ubrudził przy tym sadzą drabinę i klucze, o twarzy nie wspominając. Na szczęście zaczynało szarzeć, co wprawilo chłopaka w dobry humor, bo wieczór zwykle oznaczał fajrant.

Kuba odnalazł dziadka na parterze, w mieszkaniu zarządcy kamienicy, gdzie starość zrobiła sobie magazyn kurzu, który wylatywał na cały Poznań albo i na Wielkopolskę, tyle go zeskładowano na meblach. Gospodarz dyktował kominiarzowi przepis na antygrypowy syrop. Ewentualnie na coś, w czym entomolodzy trzymaliby schwytane owady. A mistrz notował – z grzeczności.

Dziadek w odpowiedzi wystawił na szybko fakturę z rabatem. Pożegnali się chwilę po tym, jak Jakub wypił duszkiem gorącą herbatę zrobioną dla mistrza kominiarstwa, który o tej porze miał już zwykle z litr tego napoju we krwi – nigdy jednak nie odmawiał klientom, ponieważ twierdził, że nawet najbiedniejszym ludziom należy pozwolić na tak drobny gest życzliwości. Wierzył, że pewnego dnia można potrzebować tej szklanki zabarwionego wrzątku i przez wieczne odmawianie nie otrzymać. Jakub miał to za bzdurę, szczególnie w czasach, gdy restauracje czy kafejki znajdują się na każdym rogu Poznania, a nawet pomiędzy rogami. Uważał, że dziadek wiele rzeczy robi zwyczajnie z dobrego wychowania, a próbuje dokleić do tego filozofię. W niemal każde zdanie, w każdą czynność, wciskał jakąś mądrość, co często kończyło się fiaskiem, bo według Kuby życie składało się głównie z głupot.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, kamienicznik jeszcze długo spoglądał na pustą szklankę. Dla mężczyzny już samo zaciśnięcie dłoni na

wrzątku w cienkim szkle trąciło masochizmem. Zaczął się zastanawiać nad stopniem spracowania rąk nastolatka oraz nad medycznymi właściwościami sadzy. Przemknęło mu przez myśl, czy nie powinien może płacić tej dwójce nieco lepiej, ale wrodzone skąpstwo zwyciężyło. Wzrok spoczął na zaniżonej fakturze i męczyzna nacieszył nią oczy.



Znaleźli jeszcze siły na rozmowę przy kolacji, co ostatnio zdarzało się coraz rzadziej. Od zakończenia przez Kubę liceum albo tonęli w myślach (ze wskazaniem na młodszego), albo padali ze zmęczenia (ze wskazaniem na starszego) – szczególnie z początkiem sezonu grzewczego, kiedy pracy wystarczyłoby spokojnie dla trójki chłopca.

Jadali przy kuchennym stole, bez świateł z wyświetlaczy komórek, bez paplaniny z telewizora czy radia. Przyrządzali posiłki razem, dość wykwintne jak na tandem mężczyzn, a przy tym typowo domowe. Zresztą, obaj lubili gotować. Stanie przy garnkach nadawało się idealnie jako miła odmiana dla kominiarstwa – ze względu na pożywniejszy brud, przyjemniejsze zapachy oraz brak kontaktu z klientami.

– Zamierzam wyjechać. Na jakiś czas... – Jakub odpalił informacyjną petardę od razu, jak tylko usiedli. Stwierdził, bo bał się zapytać, a tym bardziej urazić starszka. Perspektywa kilkudziesięciu lat na dachach ścierała mu uśmiech z twarzy.

– Gdzieś konkretnie? – Kominiarz poddał się formie. Zbyt długo żył na tym świecie, żeby zapominać języka w gębie.

– Gadalem z Krisem, tym wysokim z ogólniaka. Kładą z Pawłem kostkę brukową w Galway. To Irlandia – dodał, chociaż nie chciał urazić dziadka, sam jednak nie znał wcześniej innych irlandzkich miast niż Dublin czy Cork. – Obiecali, że mnie wkręcą. Przeszło dyszka za godzinę w euro, pierwszy rok bez podatku, czterdzieści godzin w tygodniu, wypłata w każdy piątek, pokój u nich.

– Rozumiem. – Mężczyzna spojrzal na wnuka, który zdecydowanie nie był już dzieckiem. – U nas sezon niezgorszy, da się zarobić i proponuję podwyżkę, chociaż nie aż takie krocie... Sluchaj, jesteś pełnoletni, nie zamierzam cię zatrzymywać. Najwyżej wezmę sobie kogoś do pomocy na najbliższe tygodnie. – Odciał kawalek omleta, który zawisł na widelcu w połowie drogi z talerza do ust. – Pamiętam tego Krzyśka – przyznał. – Można mu zaufać, choć dziwię się, że to mówię. Nieglupi chłopak, tylko smutniejszy od leniwca.

– Normalny nie jest – zgodził się Kuba, który przyzwyczaił się do niezbyt trafnych porównań dziadka ze słabością do zwierząt. – Trochę przeżył. Musiał szybko dorosnąć.

– Spokojnie mógł iść na studia, tyle powiem.

– Mógł – zgodził się chłopak. – Tylko miał dosyć biedowania, a musiałby przepracowywać nocki w Tesco za piątką na godzinę. Jak go o to spytałem, to wyskoczył z jakimś Sobieckim, co to ponoć skończył biologię na UAM-ie i wyjechał, bo nie mógł sobie niczego znaleźć. Teraz pilnuje gdzieś tam stawów rybnych. Kris rzucił nazwą miasta, ale oni tam dziwne te nazwy mają.

– Stawy rybne to niespecjalnie ambitne zajęcie.

– Może i nie, ale Sobiecki stawia dom pod Poznaniem.

– Czyli wróci. A ty?

Kuba w odpowiedzi podzielił swój omlet niczym pizzę.

– Sluchaj się tego Krzyśka – starszek poprosił wnuka, bo nie zamierzał go za bardzo cisnąć. – Pozwól się nauczyć fachu, nie wymądrzaj się, nie galopuj niczym koń na prerii. W razie czego wracaj bez najmniejszego wstydu. Czasami coś może nie wypalić i nie ma w tym niczyjej winy. Dobrze?

– Wiem, dziadku. Ja naprawdę już sporo wiem. A jak wypali, to ściągnę cię na zieloną wyspę. Będiesz mi dzieci pilnował.

– Wiesz więcej ode mnie – przyznał mężczyzna, przy czym kompletnie zignorował dalszą część wypowiedzi Kuby. – Zarejestrowałeś

mnie na Facebooku, to będziemy do siebie pisać. – Kominiarz szturchnął czeladnika. – Messengerem – popisał się znajomością zawilości portali społecznościowych.

– Byłem pewien, że tam nie zagładasz. Ciągłe masz tam tylko jednego znajomego.

– No, ciebie. I nikt inny mnie nie interesuje, tyle powiem! – Kominiarz wytarł wąsy i rzucił uśmiechem, od którego pogłębiły się mu zmarszczki.

Jakub nie mógł uwierzyć, że rozmowa poszła tak gładko. Po kolacji napisał do chłopaków, że mogą bukować bilet i posprzątać dla niego pokój.

W odpowiedzi posłali mu gigantycznego lajka.

Messengerem.

PIERWSZE ŚNIENIE

Dzieci ustawiano wiekiem, od najstarszych do najmłodszych, klasami, rzędami, kolumnami. Uczniowskie szeregi zawijały się na końcach w hałaśliwą podkowę. Nad placem apelowym powiewała wysłużona białoczerwona flaga. Przykuwała uwagę najmłodszych. Trzepotała.

Uroczystości rozpoczęto wprowadzeniem pocztu sztandarowego przy marszowych dźwiękach heroicznego poloneza Chopina – hymnu szkoły. Ósmoklasista, który niósł sztandar, wydawał się pierwszakiem prawdziwym olbrzymem.

Jakub czekał pośród innych dzieci mocno przejęty ceremoniałem. Jakaś dziewczynka chwyciła go za dłoń, uśmiechem dodała odwagi. Polubił ją bezwarunkowo.

Maluchy wzywano na środek dziedzińca po kolei, klasami. Kłękali w linię, na oba kolana. Dużym ołówkiem dotykano ich ramion, padały

przysięgi, a w zasadzie zwielokrotnione jedno. Chłopiec czuł, jak lomocze mu serce. Od teraz będzie uczniem! Mama tak bardzo na niego liczyła...

Mama... Na pewno stoi gdzieś blisko, zasłonięta tabunem starszaków, pochłonięta rozmową z innymi dumnymi rodzicami.

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, pomachać lub krzyknąć. Zapewnić, że jest i będzie dzielny i na pewno sobie poradzi! Koleżanka ścisnęła jego dłoń trochę mocniej, dając mu w ten sposób znak, że nadchodzi dyrektor.

– Przysięgam! – oświadczył najodważniej w świecie swoim dziecięcym, od lat zapomnianym głosem.

Dziewczynka wskazała na otrzymane pamiątkowe paczki słodczy, na których leżał upragniony piórnik w kształcie kredki. Jakub marzył już tylko o tym, żeby pobiec do rodziców i powiedzieć im, że wcale się nie bał i z pewnością będzie prymusem w szkole. Może przyprowadzili dziadka?

Wrócili na swoje miejsca. Zza pleców usłyszał pochwałę:

– Gratuluję, kochanie. – Kobieca dłoń popsuła jego starannie ułożoną fryzurę. – Odwróć się, synku.

Odwrócił się, powoli, jak najwolniej. Bał się, że gdy tylko to zrobi, mama zniknie, a wraz z nią sen, bo wiedział, że śni. Zbyt piękne to było na jawę.

Miał rację. Zniknęła, zanim zdążył ją zobaczyć.

Obudził się zlany łzami i potem. Złość narosła w nim, by wybuchnąć... No właśnie, przecież nie koszmarem. Kuba nawet nie mógł jej porządnie ukierunkować. Nie miał pojęcia, dlaczego w ogóle nie pamięta rodziców, skoro miał dwa latka, kiedy dziadek przejął nad nim opiekę. Mężczyzna wielokrotnie dawał mu do zrozumienia, że akurat na ten temat nie ma ochoty rozmawiać.

Przecież nie mógł czuć się winny ich odejścia – główkował chłopak.
– *Przecież zajął się mną.*

Jakub nie wyczuwał obecności dziadka, ale nie mógł ot tak wejść do jego pokoju, skoro podczas rozmowy przy kolacji zostawił za sobą dzieciństwo. Mężczyźni zdarzało się znikać bez słowa na kilka dni, wtedy Kubą zajmowała się sąsiadka albo mama Krisa. Znikał, jakby ktoś go wezwał. Ktoś, komu nie mógł lub nie potrafił odmówić.

I tak było. Tej nocy sokół rozpostarł skrzydła. Czekał go długi lot do Irlandii.

W kuchni na stole zostawił wnukowi pieniądze na rozpoczęcie kolejnego rozdziału życia, bo stary druid nie znosił pożegnań.

ROZDZIAŁ 2

IZA I NADIA

*Czy pan wie, jak wygląda las o świcie? I jelenie, które uciekają przed cieniem samolotu?
I ta cała ziemia, która jest jeszcze pełna spokoju, snu iładu, a pan patrzy na to z góry
i nie może uwierzyć, że tutaj dzieje się tyle zł.*
Marek Hlasko, *Palcie ryż każdego dnia*

– Panie i panowie, witamy na pokładzie lotu numer FR...

Maszyna nie ustępowała rozmiarami kamienicom, czym skłoniła Kubę do rozważań nad prawami fizyki, do których kiedyś zraziły go wykłady nauczyciela.

Za to w środku Boeinga rządziła ciasnota wprost z autobusów, idąca w parze z duchotą zapomnianego strychu. Chłopak uspokoił się dopiero, kiedy usiadł na wyznaczonym przez bilet miejscu, przy przejściu, tuż obok dziewczynki podróżującej z mamą. Kobieta na fotelu przy oknie poprawiła córeczce bluzkę. Na oko trzyletnie dziecko nie zwracało uwagi na Kubę.

– *Good evening ladies and gentlemen. You are very welcome on board this flight. May we have your attention while the cabin crew...*¹ – Padające z głośników słowa skłoniły obsługę do synchronicznej gestykulacji w rytm podawanych zaleceń. Na Kubę zadziało to wręcz hipnotycznie. Nie odrywał wzroku od najbliższej stewardessy. Była naprawdę ładna, co znacznie uprzyjemniało gapienie się na nią, do czego zresztą miał w tym momencie niepodważalne prawo.

¹ *Good evening...* – ang. Dobry wieczór Państwu. Witamy na pokładzie. Prosimy o uwagę, kiedy załoga...

W tym czasie plastikowa krówka ześlizgnęła się z kolan sąsiadki, by wylądować przy stopach Jakuba.

– Cześć. – Kuba chwycił zabawkę za tylne kopytka. – Nie boisz się latać?

– To jej... To ich siedemnasty lot – wyjaśniła matka, niepewna, czy sąsiad nie zwracał się tylko do zabawki. – Zdążyli się oswoić. Ja w jej wieku nawet nie jeździłam tak często pociągami.

Mała sięgnęła po krówkę i przytuliła kawałek plastiku do policzka.

– Jakub. – Chłopak wyciągnął do kobiety rękę, chociaż poczuł się od razu głupio, tak jakoś dorośle. – Pierwszy raz siedzę w samolocie. Nigdy nie oderwałem się od ziemi na dłużej niż podskok. Chociaż nachodziłem się trochę po dachach jako pomocnik kominiarza.

– Iza, a to moja córka, Nadia – odparła pasażerka. – No, to siadaj przy oknie, żółtodziobie. – Wstała z miejsca. W dłoniach trzymała torebkę, plecak córki, jakiś kocyk i siatkę z jedzeniem. – Zwykle i tak kursujemy do ubikacji w trakcie lotu.

– Jesteś pewna?

W odpowiedzi przeszła nad jego kolanami.

Kuba przeskoczył nad małą, raz jeszcze podziękował jej matce. Przez okienko niewiele mógł wprawdzie dostrzec – krajobraz przysłańiało skrzydło samolotu z silnikiem podwieszonym niemal na wyciągnięcie ręki.

Boeing 747 ustawił się już na pasie startowym. Z głośników padło kilka zdań po angielsku wypowiedzianych przez samego kapitana. Mężczyzna przekazał podstawowe informacje na temat długości lotu oraz temperatury w docelowym Shannon, a przynajmniej tyle chłopak wyluskał z szumu oraz wciąż nowych dla uszu dźwięków. Załoga zajęła miejsca, pasażerowie ucichli, rozszumiały się silniki, z wentylatorów powiało chłodem.

– Podziwiającie widoki – odezwała się Iza. Wręczyła córce kolorową butelkę z sokiem, a Kubie posłała uśmiech, z którego zaczerpnął odwagi.

Maszyna ruszyła, a przyśpieszenie wcisnęło pasażerów w fotele. Oderwali się od ziemi, nim Kuba doliczył do dziesięciu. Ulice zaczęły przypominać odciski palców olbrzyma, ze skrzydłem nie działa się nic niepokojącego. Przynajmniej na początku, bo po chwili samolot przechylił się ostro na prawą stronę – prawdopodobnie skręcał, bo o opcji spadania Kuba wolał nie myśleć.

Ryk turbin zmieszany z płaczem najmłodszych nadawał przygodzie dreszczyku. Ciarki przeszły nastolatкови po plecach, a po chwili powtórzyły tę samą trasę biegiem. Żołądek ścisnęła pięść strachu.

Jakub skupił się na oknie, dzięki czemu szybko zapomniał o wątpliwościach i z uśmiechem rozpoczął pierwszy lot w chmurach. Lęk opuścił go całkowicie w chwili, gdy wynurzyli się z mlecznej gęstwiny. Westchnął cicho na niecodzienny widok promieni słonecznych odbijających się od grzbietów chmur.

Lampki zachęcające do zapięcia pasów wreszcie zgasły, a nabieranie wysokości zaczęło być mniej odczuwalne. Pasażerowie stanęli rżądkiem do toalet.

– Przecież dopiero co wsiedli?! – wyrwało się Kubie.

– To stres – wyjaśniła rozbawiona Iza. – Ludzie piją i jedzą ze zdenerwowania.

Nadia zajęła się kolorowankami oraz naklejkami przygotowanymi przez zapobiegliwą matkę. Sprawnie radziła sobie z dopasowywaniem nalepek do właściwych kształtów.

Stewardessy spacerowały w obie strony z wózkami pełnymi kalorii lub kosmetyków. Co jakiś czas zbierały śmieci, sprzedawały pakiety zdrapek albo jedzenie z mikrofali. Uśmiechały się nieustannie, jakby uśmiech należał do ich uniformu.

– Szykuje się przedstawienie... – Iza wyrwała go z obserwowania pracownic. Wskazywała przed siebie. – Ktoś zamówił butelkę wody

– dopowiedziała cicho. – I nie wie, o co go zapytano. Są dwie opcje, gazowana lub nie. Zabrakło angielskiego.

– Poradzi sobie?

– Któryś z sąsiadów pomoże.

Faktycznie, mężczyzna z siedzenia obok ruszył z odsieczą. Wyciągnięty z tarapatów pasażer nie wydawał się zawstydzony. Jakby przywykł do takich problemów.

– Po co leci bez choćby podstawowej znajomości języka? – Jakub pomyślał na głos. – Może ma zamiar odwiedzić rodzinę?

– Poradzi sobie lepiej, niż myślisz. – Iza podała dziewczynce kromkę chleba z masłem. Mała zajęła się jedzeniem. – Ciągłe szukają ludzi do prostych prac, gdzie nie potrzeba więcej niż dziesięciu słów.

– A na ulicy, w urzędach, w sklepach?

– Znajomi pomogą albo dzieci, które w lot złapią język. A ty? Jakie masz plany? – Zgrabnie zmieniła temat.

– Zamierzam odwiedzić przyjaciół z liceum. Kładą kostkę brukową w Galway. Są już tam od wakacji, od drugiego tygodnia lipca. Mówili, że może uda mi się dorobić przez najbliższe miesiące. Ponoć nieźle płacą, a będę miał trochę czasu, żeby się zastanowić co z przyszłością. Mogę zostać, mogę wrócić. Póki co nie mam pomysłu – przyznał, sam zdziwiony szczerością w rozmowie z kimś w zasadzie obcym.

– Jesteś w takim wieku, że jeszcze nie raz zmienisz zdanie – zaśmiała się cicho. – To inne czasy. Dziś nie zostaje się księgowym czy murarzem na całe życie. Zawsze możesz się przekwalifikować – pocieszyła Kubę. – A z wyjazdem na krótko faktycznie możesz się zdziwić. Mój Tomek też przyjechał na góra pół roku. Wstępnie planował wylecieć jedynie na wakacje, żeby wyciągnąć nas z długów po śmierci babki. Tydzień temu minęły cztery lata.

Światelka nad głowami zażądały zapięcia pasów. Samolot wpadł w turbulencje, a stewardessy próbowały nakłonić spacerowiczów i kolejkowiczów do zajęcia miejsc. Nadia przytuliła się do mamy.

– Śpij, skarbie – Iza szepnęła do córki.

Jakub zgodził się, że drzemka to znakomity pomysł. Usadził się wygodnie i pozwolił maszynie się ukolysać. I on, i dziecko zapadli w sen.

Na szczęście nie w ten sam.

DRUGIE ŚNIENIE

Jęk niósł się po okolicy, przy ziemi, jakby spadł wraz z deszczem. Jakub stał pośrodku mokrego trawnika, w otoczeniu domków pooddzielanych od siebie żywoplotami z trzmieliny.

Zalatywało krwią, czyli szykowało się na jeden ze snów, przez które za czasów podstawówki budził dziadka co drugi wieczór – przy których horrory wypadały błado. Musiało tak być, skoro Kuba nie czuł ani podmuchów wiatru na policzkach, ani wilgoci czy chłodu, a przecież jesień serwowała pogodę najpaskudniejszą z możliwych, kiedy to zapominamy o słońcu na całe tygodnie, o niebie zaś nie mówi się innym niż w szarych barwach.

Jęk skoncentrował się wokół Kuby, oblepił go wysokim dźwiękiem, rezonując w kościach, w zębach, we włosach chłopca. A skoro jęk, to zdecydowanie zmora z dzieciństwa.

– Banshee, kobieto ze wzgórz, wskaż proszę dom przeznaczony pechem, skoro sprowadziłaś mnie tutaj w tak ważnym dla mnie dniu, albo pozwól powrócić na pokład samolotu – przemawiał najgrzeczniej jak umiał, żeby tylko nie narazić się zjawie. Miał nadzieję, że ta wybaczy mu pretensje, co do braku wyczucia czasu. Znali się przecież od blisko dekady.

Banshee do tej pory wieszczyła nieszczęścia przypadkowym ludziom, którym Kuba próbował później pomóc. Nie robiła tego zbyt często, za to zawsze spektakularnie upiornie. I mimo że dziadek zwałal

wizje na wyobraźnię wnuka (zwłaszcza, że wskazani raczej nie unikali kłopotów, za to spoglądali na posłańca jak na wariata), chłopak potrafił odróżnić prawdę od fikcji. Zawsze potrafił, o czym kominiarz zapominał lub nie chciał pamiętać.

Wreszcie na wysokości oczu mignęła mu siwowłosa postać w czerwonych strzępach sukni – wyglądała, jakby ktoś owiązał ją wypłowiałymi pasami tkaniny, które podwiewał wiatr. Banshee prawą dłonią wskazywała najbliższy z budynków, za lewą ukryła oszpeconą twarz.

Jakub wiedziony przecuciem dotarł do największej z sypialni na piętrze. Usiadł na skraju łóżka, by przyrzeć się okleinie mebli imitującej heban. Starał się zapamiętać każdy szczegół wystroju wnętrza, jednak nie wyjątkowo charakterystycznego nie rzuciło mu się w oczy.

Wstał, podszedł do okien, rozsunął zasłony i ziewnął ze stresu. Spojrzał na ogródek na tyłach budynku. Za płotem, na tle słabo widocznego zarysu wzgórz, ciągnęła się porzucona budowa. Lśniła w deszczu fundamentami i przewodami kominowymi. Reszty budynków brakowało.

W międzyczasie Jakub obserwował kątem oka odbite w szybach zaskapturzone zło. Nigdy nie wnikał, czym było: losem, przeznaczeniem czy personifikacją samego nieszczęścia. Prawdopodobnie spotkał się właśnie po raz enty ze Śmiercią. Ta możliwość przed laty spędzała mu sen z powiek.

Nie zostało mu wiele czasu na zastawienie pułapki ani na wspominki. Pouchylał okna i drzwi szafy tak, aby objąć w ich odbiciach całą sypialnię. Stał przed łóżkiem, po czym spojrzal w oszklone drzwi garderoby. Ciemna postać kulila się tuż za jego plecami, w jedynym miejscu, gdzie mogła liczyć na odrobinę cienia. Zamknął więc oczy, po czym postawił krok do tyłu. Jego ciało owiał chłód kostnic. Chłopak uniósł zmrożone powieki i zdjął kaptur z głowy. Widok kolejnej trupiej twarzy dołączył do kolekcji.

– Iza... – wyszeptał i krzyknął, żeby się obudzić.

Chwilę przedtem na środku pokoju pojawiło się drewniane łóżeczko.



– Jakub! – Jego imię wdarło się w resztki koszmaru. Kobieta szturchała go coraz mniej delikatnie. Pasażerowie zerkali w ich stronę. Niektórzy nie wahali się gapić zupełnie otwarcie i natarczywie.

– Krzyczaleś – wytłumaczyła, gdy Kuba wreszcie doszedł do siebie. Dziewczynka także się przebudziła. Wyglądała na zasną.

– Co się stało? – spytała mamę.

– To przeze mnie, Nadiu. – Jakub nachylił się nad małą. – Miałem zły sen. Przepraszam... – zwrócił się do Izy. – Stres zrobił swoje.

– Nie przejmuj się. Trochę pospała, a i tak zaraz lądujemy. Też bardzo się bałam pierwszego lotu. Przed przeprowadzką w ogóle przestałam sypiać.

– Izo – Kuba postanowił działać – pewnie weźmiesz mnie za wariata, ale czy mogę cię o coś zapytać?

– Jasne, najwyżej nie odpowiem.

– Czy macie w pokoju hebanowe meble? Ciemne takie?

– Nie – odpowiedziała z całkowitym przekonaniem. – Aż tak nam się nie powodzi na emigracji. Poza tym nie kupiliśmy mieszkania. Może za dwa, trzy lata dostaniemy kredyt. Póki co wynajmujemy.

Jakub zwątpił. Banshee nie przywykła się mylić. Być może czas nie-szczęść nadejdzie dopiero za dekadę lub dwie. Tylko dlaczego wyśnił koszmar już dzisiaj?

– Poczekaj – dodała po namyśle. – Planujemy przeprowadzkę do innego miasta, gdzieś bliżej oceanu – machnęła ręką, by uniknąć wdawania się w szczegóły. – W jednym z oglądanych w Internecie domów widziałam coś takiego. Ciemne drewno, o którym mówisz. Przepiękne! Szafy i łóżka w sypialniach w tym kolorze, a w salonie dąb. Chociaż to pewnie okleiny, wnioskując po cenie. Landlordowie nie słyną z gestu. Nie ostatnio, kiedy brakuje mieszkań. Niby zaczynają...

Jakub przestał słuchać, zaczął planować. Do tej pory, aby ludzie mu wierzyli, straszył ich (bezsukutecznie zresztą), ale Izie oraz malej pragnął tego oszczędzić. Spojrzał przez okno, zbierając myśli rozrzucone gdzieś po horyzont.

– Nie kupujcie ani nie wynajmujcie tego domu... – Jego głos brzmiał stanowczo. – Nie umiałbym tego wytłumaczyć wystarczająco racjonalnie. Po prostu mam silne przeczucie, że coś niedobrego się tam stanie. Takie przeczucie, które graniczy z pewnością.

Iza zaczęła wodzić wzrokiem po twarzach podróżnych.

– Nie bój się – poprosił Kuba. – Nie zacznę toczyć piany z ust. Nie wariuję. W życiu też nie byłem aż tak śmiertelnie poważny – skłamał dla dobra tej dwójki.

– Przepraszam... – Spojrzała mu w oczy. – Opowiesz mi ten sen?

– Lepiej nie, bo miałbym kłopot z obroną tezy o poczytalności.

Zaśmiała się, co dobrze wróżyło na przyszłość.

– To są przeczucia, proste obrazy, nic spektakularnego – skłamał ponownie z niepokojącą jego samego łatwością.

– Moja babcia miewała wizje – westchnęła kobieta po dłuższej przerwie. – Ponoć przed wojną prawie nie jadła i ciągle łzawiła. Wyczuwała cudze nieszczęścia. W rodzinie o tym raczej nie rozmawiano. Po jej śmierci wielu odetchnęło z ulgą. Chyba woleli nie wiedzieć, kiedy coś paskudnego ich spotka.

Kuba pokiwał głową, bo milczenie potrafi zastąpić lawinę mądrych słów.

– Nie martw się, mamy mnóstwo mieszkań do wyboru. Poszukamy takiego z trzema sypialniami. Tam mają tylko dwie.

Samolot obniżał lot, wdzierał się w chmury.

– Niedługo lądujemy, bąbelku. – Iza oderwała małą od kolorowanek. – Chodź na siku.

Stały na końcu kolejki. Jakub przypomniał sobie ostatnią część snu. Postanowił przypieczętować decyzję Izy odrobiną zdrowego strachu. Gdy tylko wróciły, zagadnął dziewczynkę:

– Kogo wolałabyś, Nadiu? – Skupił na sobie uwagę dwójki.
– Braciszka czy siostrzyczkę?

Kobieta zbladła, jej córka zaś bez wahania wybrała brata.

– Gratuluję – zwrócił się do kobiety. – Zgadzam się z tobą, co do wynajmu. Trzy sypialnie mogą mieć większy sens.

– Skąd wiesz? Nawet Tomek nie wie. Dziś rano zrobiłam test. Dopiero czwarty tydzień... Sen? – Nie potrafiła znaleźć innego wytłumaczenia.

Kuba skinął w odpowiedzi głową.

– Tylko nie pytaj mnie o pleć. – Nie zareagowała uśmiechem na żart. – Izo, jesteście bezpieczne – zapewnił. – Obiecuję.

Skinęła ze łzami w oczach. Odwróciła twarz, żeby Nadka nie dostrzegła, w jakim jest stanie.

Boeing wylądował. Większość pasażerów wystartowała w wyścigu rozpinania pasów. W głośnikach zagrano fanfary, po czym znajomy falset obwieścił światu kolejną autoreklamę, tym razem dotyczącą punktualności przylotów.

Oklaski wyrwały najwytrwalszych ze snu. Jakub pomógł Izie z bagażami i poczekał z nią przy dziobie na dziecięcy wózek. Na spód włożyli najmniejsze torby.

– Pa, Nadiu. – Schylił się do świeżo usadowionego dziecka. Mała pomachała mu krówką.

– Powodzenia, czarodzieju. – Iza przytuliła Kubę. – Znajdź mnie koniecznie, jak coś jeszcze wyśniesz. I dzięki. – Pocałowała go w policzek.

Jakub przyspieszył kroku, aby ukryć rumieniec w chłodnym terminalu.

Jęk Banshee ustał.

TRZECIE ŚNIENIE

Agnes pólleżała na tapczanie blisko okna, wgapiona w żabki przy karniszach, jakby ukrywały w sobie coś więcej oprócz kurzu i roztoczy. Wdychała ciepłe powietrze znad kaloryfera. Na zewnątrz w szyby śniegiem pukala zima. Płatki spadały na parapet, gdzie łączyły się z braćmi w biały walek. Mróz wyrysował na szklanych taflach sobie tylko znane rośliny, jak zwykle niedoceniony, przez co srogi.

Dziewczyna usiadła po turecku, żeby lepiej rozejrzeć się po pokoju. Czula się dobrze w dziecięcym cieple, nie tak znowu sporo mniejszym od tego na jawie. Od razu zachciało jej się biegać, skakać, wykorzystać w jakikolwiek sposób pokłady energii oferowane przez młody wiek. Zamiast tego postanowiła spoważnieć; dorosłość przechyliła szalę na swoją stronę, przynajmniej na moment, bo miała wprawdzie kontynuowała inspekcję pokoju, ale tak, jakby mianowano ją najwspanialszym detektywem świata. Z uśmiechem, z podszeptami wyobraźni.

Wpierw obejrzała wytapetowane ściany, same w sobie nieciekawe, bo niczym z koszmaru projektanta wnętrz: szaro-niebieskie, z jakimiś wypukłymi wzorami w kolorze obeschniętego majonezu. Szczęśliwie służyły głównie za podkład do plakatów ze zwierzętami lub gwiazdami muzyki pop. Psy, konie, dzikie bestie, a przede wszystkim koty ciągnęły się w dwóch wymiarach od dywanu po sufit. Każdy uroczy, ale nic poza tym, przynajmniej dla detektywa! Szukała dalej.

Na sufit rzuciła tylko okiem, ale jak to z sufitami bywa, nie znalazła na nim nic interesującego, oprócz bieli oraz lampy o materiałowym kloszu – niegdyś zapewne czerwonym, teraz ledwo różowym. Szyja ją rozbolala, skierowała więc głowę niżej.

Uwagę Agnes przykuła garść żołnierzyków, broniących zamku wzniesionego z drewnianych klocków, na tyle sporych, że bliżej im było

do cegieł niż Lego. Zamczysko nie miało dachu, za to miało most linowy na zewnątrz (upleciony z wełny) oraz trzy wieże, na szczycie których sterczały proporczyki z papieru toaletowego. Na każdym wyrysowano nieco koślawe „S”, raz nawet w złą stronę, na podobieństwo dwójki.

Pośrodku budowli leżał ludzik w doklejonej koronie ze sreberka. Nie miał jednej nogi, poza tym był Indianinem wśród aliantów – na ten widok jeszcze mocniej dała o sobie znać dorosłość, więc parsknęła śmiechem. Skaczący król z ukoronowanym pióropuszem musiał wyglądać komicznie wśród poddanych z karabinami maszynowymi, którym z zielonych hełmów spływał kolor na całe plastikowe ciała, a wyglądali przy królu niczym liliputy przy Guliwerze.

Nagle usłyszała głosy. Spojrzała w stronę udekorowanych naklejkami drzwi ciekawa, co się za nimi kryje. Jedyne kłamce udało się uniknąć papierowych dekoracji, przez co wyglądała wyjątkowo nago. Całą resztę zdobiły postacie z bajek, jakieś auta oraz samoloty z gum do żucia plus sporych rozmiarów plakat Michaela Jacksona z wężem boa na ramionach.

Dziewczyna podkrađła się do drzwi i nasłuchiwała dochodzących zza nich dźwięków. Skrzyknięciem zagłuszyła początek rozmowy, nie na tyle jednak, by ją przerwać.

– ...kiedyś jak ty?

Wyszła na korytarz rozjaśniony kinkietami podobnymi do tych z sal kinowych. Oparła się o szafę dwudrzwiową wbudowaną we wnękę. I znowu zgrzyt, zbyt głośny w porównaniu do wielkości zawiasów.

– Jaki, Kubusiu? Stary? – Mężczyzna nie krył rozbawienia. – Siwiejący? Łysiejący?

Dziewczyna wpatrywała się w boazerię, dotykając palcami wystających gdzieś główek gwoździ. Wydawała się jej znajoma, chociaż nigdy wcześniej nie znalazła się w tym mieszkaniu. Przypomniała sobie, że coś podobnego tata zmontował kiedyś u nich przed wyjściem na taras. U nich w Irlandii, gdzie nigdy w domu nie było aż tak przyjemnie ciepło.

– To niesprawiedliwe! – Przedarło się przez tubalny śmiech.
– Nawet Aga jest ode mnie silniejsza!

Aga – miała to słowo w myślach, dopóki nie doszło do olśnienia. Oni mówili po polsku, a co ważniejsze, doskonale ich rozumiała! Aga, Agnieszka, Agnes! Tata i brat! Z wrażenia aż przykucnęła. Kucnięcie przywołało z pamięci poprzedni sen, o pasowaniu na pierwszaka. Z nadmiaru wrażeń dziewczynie zakręciło się w głowie. Kawalki układanki wskakiwały na miejsca. Najwidoczniej śniła inną wersję życia, gdzie mieszkają za granicą, gdzie są w komplecie, gdzie Jakub istnieje poza wspomnieniami rodziców, gdzie jakiś czas temu zaczęli szkołę. W jakiejś równoległej rzeczywistości, w której nie odszedł, jak o tym mówili.

– Wyjrzyj przez okno, mama wraca z pracy. Z zakupami. – Mężczyzna przerwał jałową dyskusję z synem. – Pomóż jej, a nabierzesz krzepy. Mięśnie można wyćwiczyć, chłopie. Tylko od ciebie zależy, jak bardzo staniesz się silny. Niestety, nie obędzie się bez kilku ton cierpliwości. Być może nie będziesz gór przenosił, ale po kilku miesiącach treningu pokonasz każdą dziewczynę w siłowaniu na rękę.

Jakub wybiegł z pokoiku jak burza. Niechący wpadł na siostrę.

– Aga! Chodź! Pomożemy mamie! – zawołał, zanim zniknął za najmaszywniejszymi drzwiami, jedynymi bez mglistej szyby.

Dziewczynka stała przez chwilę zamyślona, w dodatku walczyła z pokusą zajrzenia do taty. Wiedziała, że skończy się to pobudką. Musiała wybrać. Wybrała.

Mamę.

Mama wracała z pracy, być może coś powie, wyjaśni, przytuli? Przepraszaj? Przepędzi gniew i ból? Pożegna się, bo nie wystarczyło im na to czasu.

Agnieszka wyszła na klatkę schodową, zaskoczona jej chłodem. Słyszała, jak Kuba pokonuje rzędy schodów. Każdą serię uderzeń kończył głośniejszym plaskiem.

Zeskakuje z ostatnich stopni... – pomyślała z podziwem. Chwyliła za szczebelki i pozwoliła ciału popędzić w dół, a to posłuchało, jakby niczego innego w życiu nie robiło. Dosłownie z trudem wyrabiała na zakrętach.

W pędzie rejestrowała tabliczki z obcobrzmiącymi dla niej nazwiskami. Numery mieszkań wypisano białą farbą na popielatoszarych drzwiach, wycieraczki leżały na gumowych podkładkach. Każda z nich inna, każda jednak gruba i matowa. Zaskoczyła ją szybkość analizowania otoczenia przez umysł dziecka, które znalazło nie tylko każde piętro, ale wręcz każdy schodek.

Na samym dole wystawała ze ściany skrzynka na listy – z małymi otworami na kluczyki i dla odmiany ciemną numeracją. Paskudna, metalowa skrzynka. Podłoga była mokra od śniegu strząsanego z butów przy pierwszym stopniu, od niedomkniętych drzwi zawiewało chłodem, przy którym irlandzki wiatr trącił żarem z Afryki.

Zasapany Jakub wszedł pierwszy. Mocował się w progu z siatkami pełnymi napojów, słoików i ubabranych piachem ziemniaków. Wyprostował się dumnie, nie dając masywnym zakupom satysfakcji.

– No! Leć do niej! – Rozpoczął wspinaczkę. – Pytała o ciebie! – dorzucił z półpiętra. – O sprawdzian pytała!

Aga usłyszała kroki, ten jakże dobrze jej znany rytm. Wzruszyły ją odgłosy obcasów wycieranych o stalową kratkę, przyspieszony oddech, stukot fłeków oraz dzwonienie kluczy.

Mama – pomyślała ze łzami w oczach.

– Cześć, córeczko. – Głos promieniował ciepłem. – Sprawdź, czy jest coś w skrzynce?

– Nic nie ma – odpowiedziała po raz pierwszy w życiu, chociaż czuła, że po raz tysięczny.

Odwróciła się ze szczelnie zamkniętymi oczami. Poczula zmarznięte usta na czole, zanim odważyła się unieść powieki.

– Pa... – wyszeptwała mamie.

W ten dwuliterowy sposób pożegnała się z nią w dwa dni po jej śmierci. Tej śmierci z prawdziwego życia, z tej przypadłej jej rzeczywistości, jakiejś takiej cholernie okrutnej. Choć Agnes miała osiemnaście lat, to nie czuła się gotowa na rozpoczęcie dorosłego życia bez wsparcia rodziców. – Brakuje mi ciebie. I taty też mi brakuje.

Obudziła się. Niedziela, dzień pogrzebu i wolne w pracy.

Zresztą tam i tak nikomu o sobie za wiele nie mówiła. Samą urodą wzbudzała wystarczające zainteresowanie.